

# Jubileuszowy rok Niny Andrycz

● Telewizja Polska poświęca Pani niedawno bardzo udany program pt. „Wybrańcy Melpomeny”. Dowiedzieliśmy się z niego m. in., że bieżący rok to pięćdziesiąty sezon pracy Pani na jednej i tej samej scenie Teatru Polskiego — fakt chyba bez precedensu.

— Tak, ale ten fakt nasuwa pewne refleksje. Otóż — jeżeli jubilatka po pięćdziesięciu latach pracy powie: Ach jak mi ten czas zleciał! Czytelnik gotów pomyśleć — ale zdziwiała biedaczka... Jeśli natomiast stwierdzi, że czas jej się dłużył, krzyżował twórcze zamiary, przytłaczał nadmiarem intryg — czytelnik odłoży na bok wywiad z jubilatka, ziewnie i wróci do telewizora.

● Czy to oznacza, że oficjalnie woli Pani jeszcze nie mówić o swoim tegorocznym święcie?

— Myślę, że epoce stabilnej i zamożnej przystożą strojne jubileusze artystów. Publiczność starszej generacji na pewno pamięta jeszcze panie w wieczorowych toaletach i panów w smokingach oklaskujących z widowni swoich ulubionych artystów. Ale epoce grubych śwetrów, zmarzniętych rąk i wszelakich niedosytów, z pompą jubileuszy stanowczo nie do twarzy. Epoka ma trudniejsze sprawy do załatwienia. Z tego między innymi powodu nie zasiądę po środku sceny, na fotelu, i nie będę wysłuchiwać drętowych mówek o tym, co i kiedy na tej scenie zagrałam, i jaką byłam. To temat raczej dla historyka teatru polskiego. A mnie interesuje przede wszystkim jaką jestem dziś, teraz i zwłaszcza jaką mogę być jutro, aby mieć coś do powiedzenia ludziom, odbiorcom sztuki.

● Czy z tego powodu bierze Pani na warsztat zupełnie nowych dla siebie autorów, na przykład Gombrowicza...

— A tak, Gombrowicz. Dla jednych pisarz aż genialny, dla drugich tylko drażniący i szokujący, ale chyba nie pozostawiający nikogo w stanie tepej obojętności, tak nieznośnej dla nas, artystów. Potwierdzeniem tych słów są autentyczne nadkomplety w Teatrze Prezentacje, ambitnie prowadzonym przez dyrektora Romualda Szejda, gdzie obecnie występuje. Na premierze publiczność nie mająca już miejsc wysłuchiwała dwóch jednoaktówek na stojąco. Fakt cenny i nawet wzruszający.

● Gra Pani w pierwszej Jednoaktówce...

— Tak, w „Biesiadzie u hrabiny Kotłubaj” gram właśnie ową hrabinę, która wydaje oryginalne, bo „postne” przyjęcie.

● Pojawia się Pani jako wielka dama w pięknej sukni wieczorowej z szalem gronostajowym na ramionach — czyli w emplot dobrze nam znanym. Ale oto pod wpływem spożycia podejrzanego kalafiora a także chęci zdradzenia z jednego z Pani gości, dama zamienia się nieomal w... chuligana. Odbija jej się ów kalafior, pociąga bez żenady alkohol, wreszcie rozwała się na stole...

— Albo mówiąc w stylu Gombrowicza staje się „swoicie ordynaryjna”.

Ciekawe są dla mnie reakcje publiczności. Jedni biorą to raczej za zabawę, za białenadę, drudzy natomiast dopatrują się głębszego sensu. Uważają, że au-

zie z repertuaru. Czekając wolałam robić coś nowego.

● A jaką rolę w Pani aktorstwie spełnia reżyser?

— O bardzo ważną, pierwszoplanową. Ale przecież to zależy także od indywidualności poszczególnych reżyserów, z którymi spotykamy się w teatrze. Pod tym względem los był dla mnie bardzo łaskawy. Zdążyłam pracować pod „batutą” reżyserów wielkich, takich jak: Leon Schiller, Aleksander Węgiecko, Edmund Wierciński, Zbigniew Ziemiński, a po wojnie Juliusz Osterwa, Janusz Warnecki i Konrad Swinarski, żeby wymienić tylko najwybitniejszych.

● Na publiczność chyba także nie może się Pani uskarżać?

— Nigdy w życiu! Zresztą bez niej aktor nie istnieje. Widzi Pani, dla siebie samej a może jeszcze dla Melpomeny, mogę nawet odegrać fragmencik jakiejś tragedii na przykład w łazience, bo tam wśród kafelków najlepiej brzmi głos. No ale wtedy nie ma żadnego sprawdzianu. Natomiast kontakt z chłonną i zainteresowaną widownią bardzo pomaga przy samokontroli aktora nad dalszym rozwojem roli, bo przecież rola nie umiera na premierze, przeciwnie nieraz się dopiero na dobre rodzi.

● Ale chyba najpowszechniejszy odbiór świetnego aktorstwa Pani daje, mimo wszystko, telewizja...

— No bo wtedy nie potrzeba już wyjeżdżać na występy gościnne do Wrocławia czy Poznania. Wszystkie miasta a nawet mniejsze ośrodki mogą obejrzeć spektakl jednocześnie. Otóż mam już dobry tekst, pióra jednego z laureatów literackiej nagrody Nobla, i miałabym ochotę zagrać go w telewizji, jeśli tylko uda mi się zebrać razem odpowiedniego reżysera i takich partnerów... Potrzebny mi do zagrania tej sztuki prawdziwy ogród, nie tekturowy, i duże piękne drzewa.

● A może teraz poplotkujemy sobie trochę o życiu. Co Pani sądzi o kobietach?

— Sądzę, że przez dobre zrozumianą solidarność kobiecą powinniśmy raczej poplotkować teraz o mężczyznach...

Uważam, że mężczyźni kłoboczą, a kobiety mężnieją. I nie mam tu na myśli siły osobowości takich polityków, jak na przykład Golda Meir, Indira Ghandi czy nawet Margaret Thatcher, ale postawę zwyczajnych, szarych kobiet, które dają sobie radę z pracą zawodową, z domem i z dziećmi. Jestem dla nich pełna szczerzego podziwu.



Nina Andrycz jako Maria Stuart.  
Fot. — B. J. Dorys

tor za pośrednictwem aktorów nie tylko znakomicie ośmiesza obyczaj arystokracji, ale obnaża ich okrucieństwo, straszliwą pustkę tej niby dobrej vita.

● Bo ludzie lubią szufladkować...

— Otóż Gombrowicza zaszufladkować się nie da. Trzeba wejść w jego niełatwy klimat psychiczny. Cieszę się, że tej próby się podjęłam.

● Tym bardziej, że pierwsza recenzja w „Expressie Wieczornym” była entuzjastyczna. Nota bene „Express Wieczorny” odnotował niedawno, że dopuściła się Pani zdrady wobec Teatru Polskiego, występując poza jego murami w swoim jubileuszowym roku.

— Wolne żarty, zrobiłam to przecież w trakcie oczekiwania na propozycję dyr. Dejmk. Nasze pierwsze bowiem spotkanie artystyczne w pracy nad sztuką Abramowa „Maestro” było i całkowicie udane, i bezkonfliktowe. Sztuka miała duże powodzenie i tylko choroba serca kol. Machowskiego wycofała ją na ra-